DOMAŃSKA ANTONINA

KRÓLEWSKA NIEDOLA

Domańska Antonina
Królewska niedola

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23530130
Królewska niedola:

Аннотация

Powieść z czasów Króla Łokietka. Po śmierci siostry rodzice Walusia, w obawie, że jego również stracą, bardzo się o niego troszczą.Dwunastoletni pastuszek bardzo dużo czasu spędza na świeżym powietrzu – wykorzystuje go na samotne wędrówki po lasach i skałach. Pewnego razu odkrywa dziwną grotę, a jego rodzice późnym wieczorem przyjmują tajemniczego gościa. Niedługo później Waluś spotyka rycerza, który obiecuje mu zapłatę za wytropienie zbójcy… Królewska niedola to jedna z powieści historycznych dla dzieci autorstwa Antoniny Domańskiej, tworzącej na początku I połowy XX wieku. Utwór powstał w 1916 roku. Pisarka zasłynęła jako autorka tego typu utworów prozatorskich, w których przystępną fabułę, bliską dziecięcej rzeczywistości, łączyła z faktami historycznymi.

Содержание

Rozdział pierwszy. U baszty iglarzy 4
Конец ознакомительного фрагмента. 21

Antonina Domańska
Królewska niedola

Rozdział pierwszy. U baszty iglarzy

Marcin Wilga, starszy cechu orylów i włóczków[1], sprawiał imieniny. Wczesnem popołudniem zaczęli się schodzić kumotrowie i przyjaciele, kumoszki i krewniaczki.

Dworek Marcina położony na przedmieściu Krakowa, zwanym **Rybaki**, oddzielony był od Wisły małym tylko ogródkiem i składał się z dwóch izb i kuchni. Wchodziło się po czterech schodkach na ganek z dwiema ławkami, potem do sieni; z sieni na prawo była izba mieszkalna Marcinów i Jagny, ich jedynaczki, na lewo świetlica, czyli bawialnia, w dni uroczystości rodzinnych.

Dziś ta świetlica roiła się od gości, a coraz to nowi przybywali. Marcinowa krzątała się z córką w kuchni; krajały białe ciasto na cieńsze kawałki, a żytni chleb na grube kromki; składały na jednej płaskiej misie plastry słoniny i kiełbasy, na drugiej pięknie upieczone i zręcznie rozebrane gęsi, jako przynależy w dzień tak uroczysty. Duże sito aż się rwało pod stosem glonków sera z kminkiem, na drugim piętrzyła się góra miodowych placków.

---

[1] *oryl* a. *włóczek* – flisak a. holownik, pomagający flisakom w przeprowadzeniu tratwy w trudnych miejscach na rzece. [przypis edytorski]

Gdy już wszystko było pięknie zładzone[2], zawołano do pomocy Kasię Jędrusównę, siostrzenicę Marcinowej; i weszły wszystkie trzy do świetlicy z wielką okazałością, dźwigając sutą przekąskę. Dzbany z owsianym piwem warzonym w domu i gąsiory z miodem stały w sieni za drzwiami; wiadomo bowiem każdemu, że napój wszelaki ma rozgrzewać serce i wnętrze człowieka, ale sam winien być wystudzony jak należy. Ciepłym piwem nikogo nie uraczysz.

Rozpoczęło się częstowanie, przymawianie, zapraszanie, jako przystoi w prawdziwie gościnnym domu. Ukazały się półkwarcia z piwem i mniejsze, blaszane kubki z miodem. Pito na zdrowie solenizanta, na podziękowanie gospodyni, na prędkie weselisko Jagienki, na pomyślność całej rodziny, na powodzenie cechu. Zasię Marcin kłaniał się na wsze strony, dziękował i wnosił zdrowie sławetnych panów **Starszych**, panów **Majstrów**, a sercem umiłowanych kumotrów. Zaczem odsapnąwszy nieco, pił na zdrowie młodzieży, w ręce najstarszego z czeladzi rzemieślniczej, której ze względu na złotowłosą Jagnę i czarnobrewą Kasię zebrało się sporo.

Gdy już pierwszy smak zaspokojono, a pochwały wybornego jadła i grzeczne słówka nieco przycichły, Marcin pociągnął żonę za rękaw.

– Matka, zaściel ta świeżym obruskiem stół w przeciwku, Jagna niech przystroi kubków i ze dwa gąsiorki; my starsi pójdziemy sobie na pogawędkę do spokojnego kąta, będą mieli

---

[2] *zładzony* (daw.) – przygotowane, uporządkowane. [przypis edytorski]

młodzi więcej miejsca do zabawy.

Kilku poważnych wiekiem gospodarzy i dwóch czy trzech młodszych przeszło za Marcinem do izby na prawo i tam, choć zupełnie na uboczu, jeszcze się rozejrzeli, czy nie ma gdzie w kącie jakiego wścibskiego wyrostka. Zaczem, sprawdziwszy, że są sami, obsiedli stół dokoła i rozmawiali półgłosem. Zafrasowane mieli miny, chmurne, zgnębione; to jeden, to drugi z majstrów dorzucał jakieś słowo, a każde takie słowo coraz to większym smutkiem oblekało twarze zgromadzonych.

Rej wiódł w kompanii Kasper, kościelny ze Skałki, który dzięki temu, że obsługiwał wielebną osobę księdza proboszcza już od lat szesnastu, mógł się nieraz nasłuchać ważnych i ciekawych rzeczy. Rycerstwo i duchowni panowie schodzili się co dzień prawie na narady u księdza Marka z Poznania. Stary Kasper cieszył się zaufaniem i łaską swego pana, przeto dokładając drewek na komin albo napełniając kielichy gościom, śmiele się przysłuchiwał a pilne dawał baczenie na to, co mówili.

– Skądże tak pewnie gadacie, kumotrze, że całe to nieszczęście ino przez ……..ą zdradę się stało?

– Wiem ja dobrze, co mówię. Nikto nie winien, ino[3] krakowskie mieszczany[4].

– Zmiłujcie się ludzie… zali[5] to możliwe, aby te przybysze[6]

---

[3] *ino* (gw.) – tylko, jedynie. [przypis edytorski]

[4] *krakowskie mieszczany* – dziś popr. forma M lm: krakowscy mieszczanie. [przypis edytorski]

[5] *zali* a. *żali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

kąsały rękę pańską? Toć polski chleb jedzą!

– Cichojcie[7], Walenty… niech Kasper gada. Wszystko nam wyjaśni i rozpowie. Tedy więc?

– Tedy więc, komu nie wiadomo, trza wiedzieć, że w tej nieszczęsnej dobie kilku się dobija o wielkie księstwo krakowskie. Henryk wrocławski[8], co to niby **Probusem** się zwie, czyli prawym, siłę i moc ma za sobą, a niepoczciwie postępuje. Zasię po stronie księcia sieradzkiego Władysława, młodszego brata nieboszczyka Leszka Czarnego, stoją wszyscy, co matkę Polskę kochają.

– O raju, raju… Jak też to Kasper wszystkiego świadomy!

– Cichojcie, Walenty, dajcie mu gadać.

– Jak nie mam być świadom – odparł Kasper – skoro Bogiem i prawdą nie ma jednej narady beze mnie. Przychodzi pan krakowski[9] i ksiądz biskup, wysłańcy z Poznania i Gniezna, i mój wielebny pan, i wojewodowie; a ja se w tej komnacie, co oni; tyle różnicy, że tamci siedzą na ławach, a ja stoję przy kominie. Słucham, co ino uszu starczy, jednego słowa nie uronię; a że człek z łaski Pana Jezusa ma tę kapkę oleju we łbie, to i składa jedno wedle drugiego, aby się kupy trzymało.

– A czemuż na Skałkę przychodzą? Toć słuszniej, by się

---

[6] *te przybysze* – dziś popr. forma M lm: ci przybysze. [przypis edytorski]

[7] *cichojcie* (gw.) – bądźcie cicho, milczcie. [przypis edytorski]

[8] *Henryk wrocławski*, właśc. *Henryk VI Dobry* (a. Wrocławski; 1294–1335) – książę wrocławski w latach 1311–1335. [przypis edytorski]

[9] *pan krakowski* – tu: kasztelan krakowski. [przypis edytorski]

wszyscy do biskupa trudzili, a nie jego przewielebność do pośledniejszych od siebie.

– A bo uważcie, książę Henryk ma szpiegów i donosicieli pełny Kraków; przez nich by się wiela niepotrzebnie dowiedział. Tedy lepiej się naradzać w spokojnym kącie u Skałecznego proboszcza, niźli u jakich znamienitych panów.

– Święta prawda. Gadajcież dalej, moiściewy!

– Ci, co księcia Władysława[10] wbrew Probusowi na tron wzywają, dobrze wiedzą, co to za wielkie serce i mocny duch mieszka w onym[11] ciele niepozornym. Ksiądz biskup rzekł kiedyś do panów Rady: „Łoktek[12] on się zwie? A niechta; czyny onego mierzyć będziemy **wielką miarą**."

– Dajże mu, Jezusie Nazareński, Matuzalowe[13] lata, by rządził skołataną ojczyzną!

– Ano, com to chciał rzec… Ledwie się dostał umiłowany pan do Krakowa, ledwie co zasiadł na Wawelu, juści się porwał na niego ów Probus. Posłał z wielkim wojskiem krewniaka swego Henryka Lignickiego; dwa razy go na głowę pobito, dopiero za trzecim razem…

– Boże święty… co się to dzieje na świecie, a my, chudziny, rodzimy się, żyjemy i mrzemy, jako te myszy w norach, niczego

---

[10] *książę Władysław* – tu: Władysław Łokietek. [przypis edytorski]

[11] *on, onego* (daw.) – ten, tego. [przypis edytorski]

[12] *Łoktek* (daw. forma) – Łokietek. [przypis edytorski]

[13] *Matuzalowe lata* – życie długie jak życie Matuzalema; Matuzalem, postać z *Biblii*, dziadek Noego, miał żyć prawie 1000 lat. [przypis edytorski]

nieświadomi.

– Cichojcież, Walenty…

– Jeden Pan Bóg Wszechmogący raczy wiedzieć – prawił Kasper – żaliby[14] wróg zdobył nasze miasto, gdyby nie krakowskie mieszczany[15]. U jednej bramy miały psubraty swoich ludzi, to i wpuścili nocą …….. żołdactwo tą bramą. A książę Łoktek właśnie naówczas obchodził straże i cudem ino niewypowiedzianym, omal już w ręku wroga będąc, zniknął w okamgnieniu, jakby się w ziemię zapadł. Tedy jakoż mam rzec? Niecną zdradą stało się nieszczęście i amen.

Słuchacze załamali ręce, niejeden miał łzy w oczach; któryś z młodszych zawołał:

– Żeby mi kto powiedział, jakim prawem te bezecniki wdarły się do naszego miasta i rozwielmożniły się tak srodze z krzywdą ludzką?

– A o Tatarach słyszeliście, Tomaszu, hę?

– Juści, o Tatarach dziaduś mi opowiadali. Trzy roki mi było, gdy spadli na Polskę. Matkę chciał porwać taki jeden pies pogański; broniła się nieboga zębami i pazurami, tedy ją ciął jakimsi jataganem, czy inszą siekierą, i od jednego razu zamordował. Łaska Boska, że ani mnie, ani dziadka w jasyr nie pognali.

– Oj Tomaszu, Tomaszu… powały sięgacie głową, a… ot, nie

---

[14] *żaliby* (daw.) – czy, czyby. [przypis edytorski]

[15] *krakowskie mieszczany* – dziś popr. forma M lm: krakowscy mieszczanie. [przypis edytorski]

dopowiem, bobyście się snadnie pogniewali.

– Cobym się miał gniewać? Wszakci nic szpetnego nie ma, żem urósł ponad innych.

– Ano… prawda. Tedy wiecie, dlaczego was Tatary nie wzięły?

– Pan Bóg to wie, nie ja.

– Słusznie, Pan Bóg to wie. Ale i ludzie odgadują niekiedy takowe zawikłane pytania. Ja bym więc moim głupim rozumem miarkował, że trzyletnie dziecko, to ino sroga mitręga w taborze; a z siwym pogarbionym dziadem takoż zawada i utrapienie. Dlatego was ostawili w spokoju. A za to wiecie, ile luda pobrali w straszną niewolę?

– Ino wciąż pytacie a pytacie… Cóżem ja prorok, albo jakowy świadowid, czy co?

– No, to już wam powiem: samych dziewuch i młodych niewiast dwa-dzie-ścia je-den ty-się-cy![16] A gospodarzy i parobków, bez liku!

– Ooo, to nie najlepiej się stało – frasobliwie kiwając głową rzekł Tomasz.

Obecni parsknęli śmiechem mimowoli, a Kasper dodał:

– Juści nie najlepiej. Gdybyście tę garstkę na krakowski rynek wysypali, toby tego pełniuśko było, głowa przy głowie.

– Aha, dworujcie sobie ze mnie, rozumiem się na żartach; a wam się może zda, żem matoł? Krakowski rynek… hoho… ale

---

[16] *dwa-dzie-ścia je-den ty-się-cy* – dziś historycy podają mniejsze liczby, sięgające kilku tysięcy brańców obu płci. [przypis edytorski]

się nie gniewam; starszemu człeku godzi się wybaczyć.

Gospodarz trącił Kaspra nieznacznie w ramię i szepnął:

– Ostawcie go; szkoda waszej mowy dla głupiego.

Głośno zaś rzekł:

– Cóż zasię mają Tatary do krakowskich mieszczan?

– Zaraz powiem do zrozumienia: Skoro one pohańce[17] poszły, zabierając łupy i lud w niewolę, ino goła ziemia ostała, a zgliszcza, a pustka. Co było robić? Święta rola odłogiem leży, robotnika ani uświadczy, rzemiosła pozamierały, koniec świata i tyle.

– Wiadomo – rzucił Walenty – swój do swego zawżdy ciągnie; ów książę Henryk milszy im, niż Polak z krwi i kości. Ponoś dawno zabaczył[18], że z Piastowego jest gniazda; po polsku nawet nie umie. Jakoż mieli zachować wiarę Łokietkowi krakowscy mieszczanie?

Umilkł, a wszyscy zgromadzeni zamyślili się smutno. Kto mógł przewidzieć, jak rychło skończy się niedola księcia i całej ojczyzny.

Aż tu znienacka odezwał się Tomasz, cedząc słowo po słowie, z namysłem:

– Śmieliście się ze mnie, sławetni majstrowie; od razu zmiarkowałem, że ze mnie, choć zda mi się nie rzekłem nijakiego słowa do wesołości. Inszy by urazę w sercu chował, albo zgoła zwady szukał; jam spokojny człek, swarów nie lubię. Korci mnie

---

[17] *one pohańce* – ci poganie. [przypis edytorski]

[18] *zabaczyć* (daw.) – zapomnieć. [przypis edytorski]

jednakowoż, abym się na was pomścił co nieco za owe śmiechy.

Marcin podszedł ku niemu. Jako gospodarz obawiał się, by od słowa do słowa nie przyszło do kłótni, a kto wie… po tylu kubkach miodu… może i do bitki. Niepodobna gospodarzowi dopuścić do takiej ostateczności. Rzekł więc łagodnie, kładąc rękę na ramieniu Tomasza:

– Ej kumotrze, cobyście się ta sierdzili; w pogwarce sto słów padnie z gęby, a głowa o nich nie wie. A przy imieninach, przy napitku, to się człowiek i roześmieje czasem z byle czego. Szanujemy was przecie wszyscy, a całe **Rybaki** znają szkuty majstra Tomasza, jako są na Wiśle nieprześcignione.

Tomasz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Chyba, że prawdę gadacie, Marcinie; jeden jest przemądrzały w mowie, drugiego rozum uwidzisz przy robocie. Niech ta już będę stratny; a za pokutę, żeście mnie obśmiali dzisiaj, proszę was pięknie wszystkich jakoście tu są zebrani, do mojej chałupy jutro na łososia. Wczorajem go ułowił, **oćwiara** niczem cielak.

– Bóg zapłać! Bóg zapłać! Stawimy się niechybnie! – odpowiedzieli.

– A jeśliście mniemali, co was moja pomsta ominie, to była szpetna pomyłka. Słuchajcie bacznie, rzekę wam coś: ja go widziałem, a wy nie!

– Kogo?

– Co takiego?

– Gdzie? – pytali jeden przez drugiego.

– Jak to kogo? Ma się wiedzieć, księcia Władysława.

– Władysława? Być nie może!

– Łokietka?

– Cóż za brednie!

– A nie brednie. Patrzałem nań z tak bliska, jako na was ninie[19] patrzę.

– Kiedy?

– Dziś o piątej rano, na prymaryi[20] u św. Idziego.

– Przywidział wam się ktoś podobny.

– Aha… mądre słowo. Toli na cały Kraków jeden jest ino człeczek takowej mizernej postaci, prócz księcia.

– A prawda – przerwał mu Onufer, krupiarz z Pędzichowa – prawda, ksiądz Wincenty, pisarz u św Trójcy.

– Widzicie tedy, skoro znam księdza Wincentego, a nie on był na prymaryi, to musiał być książę.

– A ja się dam zabić, że dawno już uszedł z Krakowa. Tydzień by tu siedział u wroga w paszczy?

– Nie dajcie się zabić, boby was szkoda było – rozśmiał się Tomasz. – Widziałem go, jak Bóg na niebie.

– O rany Pana Jezusowie… Jeszcze go Probus pojmie w niewolę!

– A nam co do tego? Widno pilne sprawy zatrzymują go w Krakowie, to i nie pyta, czy bezpieczno, abo nie. Zresztą…

---

[19] *ninie* (daw.) – teraz. [przypis edytorski]

[20] *prymaryja* a. *prymaria* – msza poranna w obrządku katolickim. [przypis edytorski]

– Tomasz splunął wzgardliwie i machnął ręką – czy to onym szpiegom pilno po prymaryjach biegać; w pierzu im cieplej niźli w kościele; to i nie lękało się panosko nieszczęsne błagać ratunku dla siebie i – dla biednej krainy, krzyżem leżący na mszy świętej.

– A potem co się stało?

– Za księdzem do zakrystyi poszedł i podział się gdziesi.

– W podziemiu jest izba obszerna – szepnął Kasper do Marcina – tam się może przez dzień ukrywa, a nocami narady ze swymi wiernymi odprawia.

Drzwi otwarły się znagła, w progu stanęło dwóch młodych chłopców: Jacek Rataj, bratanek, i Kuba Mocarny, chrześniak Marcina.

– A czego? – spytał gospodarz.

– Przyszliśmy się pokłonić i pożegnać was, ojcze chrzestny – rzekł Kuba – ściemnia się już, pora nam gnać do miasta, zaczem bramy pozawierają.

– Nie zdążycie, ostańcie na noc.

– Dziękujemy wam pięknie za dobre słowo – odparł Jacek, całując Marcina w rękę. – Majster by strasznie swarzył, gdybym nie wrócił dzisiaj; dy znacie Glasera, łacno się gniewa, a gdy zły, to wali, czem popadnie.

– Tak samo i Langmann – dodał Kuba – nijakiej wyrozumiałości nie zna. Bywajcie zdrowi, ojcze chrzestny. Ich Miłościom panom majstrom kłaniamy się.

– Niech będzie pochwalony.

Wybiegli.

Szara mgła unosiła się nad rzeką, między domkami słały się wieczorne cienie. Tylko wąziuchna ścieżka, prowadząca z przedmieścia ku murom i basztom, wcale jeszcze była znaczna wśród zgniłej trawy i błotnistych kałuż. Gdzieniegdzie bieliły się na niej rzucone płaskie kamienie, wskazywały kierunek i dopomagały jako tako do przejścia.

Czeladnicy szli chwilę, nic do siebie nie mówiąc. Kuba przystanął nagle, rozejrzał się po niebie i po ziemi, i krzyknął:

– Jezus!… Jacek, noc zapada… śmigajmy co żywo!

– Juści, śmigajmy; a nowe ciżmy? Takeśmy ich strzegli tu idący, skakaliśmy po kamieniach niczem pchły.

– A, bo nie było strachu. Co ci ta o ciżmy, umyjesz, oczyścisz jutro; dziś trza nam pędem biec, póki bramy otwarte.

– Ano, to dymaj przodem, ja za tobą.

Puścili się kłusem. Kuba walił na oślep, ani pytał, a rzadkie po tygodniowym deszczu błoto obryzgiwało mu kożuszek, skakało nawet do oczu. Spokojniejszego ducha Jacek szedł ostrożniej, ale i on ślizgał się co chwila i wpadał w kałuże, omal ukochanych ciżem nie pogubił.

Mijali wawelską górę. Tutaj ścieżka rozgałęziała się na troje: w prawo ku Grodzkiej bramie, w lewo wzdłuż murów ku baszcie Iglarzy, i nieco wstecz, poza miasto, ku błoniom i wsiom pobliskim. Przystanęli niepewni, którędy lepiej dobiec do miasta, gdy przenikliwy, ostry głos trąby, zwiastującej zaciąganie warty nocnej, i zamykanie bram, rozległ się donośnie w powietrzu.

– Masz tobie… – westchnął Jacek; – a teraz co? Czekaj no… –

krzyknął – jeżeli cudem łaski Boskiej zatrzymali Szymka, mego ciotecznego, co tam już trzy roki służy, to nasza wygrana. Ino zbyrknę po swojemu, pozna, żem to ja, i uchyli furtki. Już mię nie raz, i nie dziesięć przepuszczał.

– Ano, to drała[21] do Iglarzy!

Jacek podszedł jak mógł najciszej do samej baszty, stanął przy furtce, i zapukał lekko dwa razy po trzy razy. Baczne ucho żołnierza na warcie dosłyszało to podejrzane stukanie. W okrągłym otworze u góry drzwiczek ukazała się twarz jakaś wąsata.

– Co tam? – padło krótkie pytanie.

– To my, czeladź od majstrów Glasera i Langmana. Raczcie nas wpuścić do miasta.

Żołdak mruknął niechętnie łamanym czeskim językiem:

– Wracajcie skądeście przyszli. Ani bram, ani furtek nie otwiera się o tej porze.

– Chciejcie wasza miłość uczynić nam tę wygodę – prosił grzecznie Jacek – zapóźniliśmy się nieco, pilno nam.

– Idźcie precz! – podnosząc glos odparł strażnik. – Nie wpuszczę i amen.

– Nie wpuścicie? Ino rygiel odsunąć… co wam szkodzi?

– Ruszaj mi stąd polski psie, bo cię inaczej poczęstuję!

Na te słowa Kuba dotąd schowany za przyjacielem, wyskoczył naprzód, krzycząc:

– A ty sobie co myślisz, przybłędo z końca świata? Kogo to

---

[21] *drała* (daw. pot.) – tu: biegnijmy. [przypis edytorski]

psem przezywasz? Krakowskie dziecko? Polskiego chłopa, co tu na swoich śmieciach siedzi? Co jego dziady i pradziady w tej świętej ziemi leżą? Psem będziesz przezywał zbóju bezwstydny? Tyś sam pies… bezdomny pies… W cudze legowisko się wdarłeś i jeszcze warczysz? Otwieraj furtkę!

Jacek, mniej skory do burdy, usunął się na bok i poglądał ku klasztorowi Franciszkanów, którego mury łączyły się przy baszcie z murem miejskim, a niższe były i gdzieniegdzie nadwyrężone.

– Po co ten paliwoda zadziera ze strażą… – pomyślał – lepiej byśmy pokornie powiedzieli dobranoc, a przeczekawszy trzy pacierze, dałoby się jak nic przeleźć tędy na podwórze przewielebnych ojców. Z podwórza do ogrodu, przez płot na cmentarz Wszystkich Świętych, i już człek w domu.

Chciał Kubę pociągnąć za kożuch i szepnąć mu słowo, gdy wtem zamajaczyło mu coś jasnego przed oczyma. Spojrzał bystro, i aż się żachnął…

Tam wysoko, na poddaszu dzwonnicy franciszkańskiej błysnęło światło… Ktoś wyjrzał oknem i cofnął się. Chmury, przesłaniające księżyc, pomknęły z wiatrem, rozwidniło się na niebie i na ziemi. Świeczka na wieży zgasła, ale Jacek nie spuszczał oka z miejsca, w którem ją ujrzał.

Znowu się coś w oknie poruszyło; tym razem ukazały się trzy głowy. Za chwilę Jacek zobaczył coś więcej: ciemny duży przedmiot wysunięto poza obramienia okna i spuszczano go powoli ku dołowi.

Nie rozumiał, co to ma znaczyć, domyślał się tylko jakiejś tajemnicy.

Kuba tymczasem nie żałował płuc, ani języka, wrzeszczał wyzwiska najobelżywsze, wkońcu odskoczył wstecz, zadarł głowę i splunął w kierunku baszty.

– Masz! Tyleś u mnie wart, złodzieju …….!

– Niech się ta kłócą – przemknęło Jackowi przez głowę. – Mogliby żołnierze zauważyć co, posłyszeć szmer, lepiej, że się zajmą czym innym.

Kuba rozparł się szeroko na nogach, ujął się oburącz pod boki i klął. Nic już nie miał do stracenia; zrozumiał, że ani dobrocią, ani złością nic nie wskóra, tedy mścił się bodaj gębą.

– To teraz taki porządek w sławetnej stolicy? To spokojne, uczciwe ludzie nawet nocować nie mają we własnym łożu? Toście wy siepacze katowscy, a nie wojsko książęce? Psie syny jedne!

W oknie dzwonnicy ukazali się znów ludzie… Ciemny przedmiot obsuwał się coraz niżej, widocznie zawieszony był na linach, które tamci trzymali.

– Kosz! – omal że głośno nie wykrzyknął Jacek. – Jak Boga kocham kosz!… Człowiek w koszu!… O rety… żebyż go nie spostrzeżono!

Już nie ten sam wąsal, inny jakiś wartownik przyskoczył do okienka nad furtą.

– W tej chwili mi precz pójdziesz, smyku niedowarzony!

Kuba rozśmiał się zjadliwie.

– Ja smyk? Ano prawda, młodym jest. A tobie zazdrość, zbirze najemny, coś już lata zdarł w dziesięciorakiej służbie. Ileż ci płacą za dniówkę, hę? Kto ci da grosz, ten twój pan! Chachachacha!

– A ty pędraku… błaźnie jeden… zda ci się, że z babami masz do czynienia? Precz, bo kuszę naciągam i przestrzelę cię na wylot!

Tajemniczy kosz dotknął szczytu muru klasztornego i zatrzymał się. Jacek przyskoczył do Kuby i szarpnął go z całej siły za rękę.

– Milcz, jeśli ci żywot miły! – szepnął mu w samo ucho, a głośno i dobitnie rzekł do żołnierza:

– Idziemy już oba, panie wachmistrzu, idziemy; raczcie wybaczyć chłystkowi głupiemu. Piwo mu w głowie szumi, to i plecie jak na mękach… Zdrowego snu wam życzę; dobranoc!

– Dobranoc – mruknął strażnik, zasuwając okiennicę.

– O Jezu… szczęście, że sobie poszedł – westchnął Jacek.

– Cóżeś ty rozum postradał, abo cię tchórze obleciały? – wrzasnął Kuba, ochłonąwszy nieco z pierwszego zdumienia. – Puszczaj… pobiegnę do furtki; jeszcze mu za mało zelżywości nagadałem; niech sobie raz użyję. A to coś niesłychanego… takiego łotra bezecnika przepraszać będzie!

– Ani pary z gęby nie puścisz, bo cię uduszę – syknął Jacek i palcem wskazał na mur. – Rozumiesz teraz?

– A tam co takiego?

– Co? Człowiek jakiś ucieka; ojcowie mu niosą pomoc.

Usuńmy się dalej na prawo, coby nas z baszty nie dostrzeżono; może i my się na co przydamy.

Kosz osiadł na ziemi po zewnętrznej stronie muru.

– O Matko… fosa głęboka… wody niemal do pół… patrzaj no, Jacek… mnich jakiś!

– Zesuwa się… o rety… już ma po ramiona…

– Już po szyję…

– Trzeba go ratować…

Jacek położył się na brzegu fosy i odchrząknął cichutko.

Człowiek zanurzony w wodzie, podniósł głowę nasłuchując.

– Wielebny ojcze, nie lękajcie się… my swoi… ino śmiało do brzegu!… Tędy lepiej… na lewo… jeszcze na lewo…

– Cóż gadasz? Na prawo przecie… – szepnął Kuba.

– Nam na prawo, to jemu z przeciwnej strony na lewo.

– Chyćcie się mego kija… – szepnął Jacek – podciągnę was na wał… Nie bójcie się, nie puszczę… mocno trzymam.

– Tu nogę stawcie… tu wyrwa, jest się na czym zeprzeć.

– Jeszcze jeden krok w górę… podajcie mi drugą rękę.

– O Jezu, dzięki Ci… Już!

Habit zakonnika, ociekający wodą, przylgnął mu do ciała; drobny był to człek i zmizerowany; nie miał nawet czapki na głowie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.